

Wspomnienia mieszkańców Kromnowa

Z KOŁOMYI DO KROMNOWA

Jadwiga Ruchałowska

Opracował:
Edward Biliński

Pochodzę z Kresów dawnej Rzeczypospolitej. Ojciec mój Karol Wołoszczuk urodził się we wsi Pistyń, w wielodzietnej rodzinie, jako najmłodsze, ósme dziecko. Wcześniej został sierotą. Był wychowywany przez starsze rodzeństwo. Kiedy dorósł, nauczył się szybko wielu rzemiosł, między innymi tkactwa kilimów, wikliniarstwa, potrafił wyplatać koszyki nawet z kory wierzby, próbował rów garncarstwa.

W 1936 roku ożenił się z piękną panną Marią Romanowską. Na szczęście dla obojgu wniosła wiano w postaci czterdziestu morgów ziemi we wsi Utoropy w gminie Jabłonów. W ciągu dwóch następnych lat, ojciec wybudował wspinały dom z gankiem, piwnicą i oborą. Przed domem mama zrobiła niezwykle barwny ogród kwiatowy z dorodnymi malwami wzdłuż płotu.

Wybuchła wojna w 1939 roku. Miałam dwa lata, świat ujrzał mój braciszek Stasiu. Przez naszą wieś przechodzili cywile i wojskowi. Chłopcy ze wsi, nastoletni jeszcze, zabierali się z nimi w stronę Rumunii. Z naszej rodziny też poszli. Do granicy było niedaleko, zaledwie trzydzieści kilometrów. Jak się później dowiedzieliśmy, z Rumunii wielu Polaków uciekło do Francji, do armii generała Sikorskiego.

Ojciec w chwili wybuchu wojny został powołany, jak inni ze wsi, do wojska. Wrócił pieszo do domu ze Stanisławowa, był bardzo zmęczony drogą i przygnębiony klęską naszej armii, a przegraną Polski najbardziej. Ludność polska bardzo bała się żołnierzy sowieckich. Chodziły pogłoski o mordach dokonywanych na Polakach przez Armię Czerwoną. Noce spędzaliśmy ukryci w różnych domach we wsi. Rodzice nieco dalej od naszego zabudowania, nad strumykiem, zrobili w trosce o nasze bezpieczeństwo ziemiankę, abym mogła się z bratem ukryć przed żołnierzami. Przez tą budowlę tato miał same kłopoty. O dziwo, wielu interesowało się jej przeznaczeniem. Byli tacy, którzy podejrzewali ojca o ukrywanie w niej partyzantów. Trzeba było ziemiankę zburzyć i dać kres wszelkim, wyssanym z palca podejrzaniom. Plotki przestały krążyć po wsi.

Cztery lata później, w sierpniu, rodzice dostali nakaz pracy przymusowej w majątku pożydowskim administrowanym przez Niemców w Wiśniówce. Do tego majątku jechaliśmy dwa dni wozem. Pamiętam bardzo dobrze tę drogę. Dygotałam z zimna i ze strachu przed niepewną przyszłością. Zapamiętałam przerwę w podróży. Rozsiedliśmy się pod stogiem słomy i spożywaliśmy jedzenie przygotowane na drogę przez mamę. Mój mały braciszek z chustką zawiązaną na głowie wyglądał jak dziewczynka. Wygląd brata zdecydowanie poprawił mój humor i nawet zaczęłam się śmiać. Po dotarciu na miejsce do Wiśniówki, rodzice dowiedzieli się, że będą zatrudnieni w gospodarstwie. Dzięki temu czasem mogłam z bratem zjeść kleik zrobiony ze zmielonej pszenicy. To było bardzo smaczne dla nas wyjątkowo głodnych dzieci. Mieszkaliśmy w dużym budynku, zajmując jedną izdebkę z maleńką sienią. Obok budynku były zabudowania gospodarcze i tam przydzielono nam obórkę. W tej obórce rodzice hodowali wieprza. Odpowiednią ilość mięsa trzeba było oddać na kontyngent. Trochę wieprzowego zostało do podziału z naszą sąsiadką, a jakąś część rodzice sprzedali. Za te pieniądze kupili pierzynę, która trafiła po wojnie z nami do zachodniej Polski. Zima tego roku, w którym zamieszkaliśmy w Wiśniówce, a więc czterdziestego trzeciego, była wyjątkowo sroga. Termometry wskazywały minus czterdzieści pięć stopni Celsjusza. Ojciec wykonywał w tym czasie pracę woźnicy i zwoził furmanką z lasu pnie drzew. Dzięki temu mógł dostarczać nam do naszej izdebki trochę gałęzi do palenia w piecu. Mama przetapiała śnieg na wodę. Drzwi były otulone dodatkowo matą ze słomy. Nie było zapalek dlatego ogień był czymś całkowicie najważniejszym. Nie można było doprowadzić do wygaśnięcia paleniska. Pamiętam jak raz zdarzyło się, że ogień prawie wygasł. Mama znalazła w popiele kawałek tłącego się kawałka drewna. Owinęła go słomą i tak długo dmuchała, aż słoma ku radości wszystkich zapaliła się. Byliśmy uratowani. Sama przekonałam się, co znaczy poznane później powiedzenie, o tym, że wpada się do kogoś, jak po ogień. Czyli na sekundę, na chwilę. W wigilię było bardzo biednie na stole, nie mieliśmy

choinki. Mężczyźni wyszli przed budynek i śpiewali kolędę „Wśród nocnej ciszy”. Bardzo mi się ten śpiew podobał. Było nam smutno, że jesteśmy z dala od rodzinnego domu, a jednocześnie cieszyliśmy się, że trwamy razem, że wojna nas nie rozłączyła. Następnego roku wiosna i lato były bardzo ciepłe i słoneczne. Mama gotowała młodszemu bratu Staszкови i mnie zupę z lebiody. Zapamiętałam jej smak na zawsze. Kiedy zbliżył się front, Niemcy pośpiesznie wraz z rodzinami opuścili majątek. Mogliśmy wrócić do naszej wsi, chociaż jakiś czas mieszkaliśmy w Wiśniówce. Tam tato otrzymał powołanie do II Armii Wojska Polskiego.

Wróciliśmy tylko z mamą do Utoropów. Zamieszkaliśmy u babci, bo w naszym domu Rosjanie urządzili sobie kwatery. Zostaliśmy z matką i babcią. Babci wyzwoliciele zabrali prawie cały przychówek, zostawili tylko jedną krówkę. Kiedy front ruszył dalej, zamieszkaliśmy na ojcowiznie. Mama uszyła nam kurtki z wojskowego płaszcza. Przefarbowwała go najpierw w korze dębowej, potem popruła i z kawałków dawnego płaszcza zostały uszyte dwie kurtki. Na dwór raczej wychodziliśmy w tym czasie rzadko. Mama bała się bomb – pułapek, które były wykonane jak prawdziwe zabawki. Rzucane były przez Niemców z samolotów. Ofiarami najczęściej były dzieci.

Ten rok do końca obfitował w wydarzenia, które mogły się zakończyć dla nas nawet śmiercią. W grudniu spalił się katolicki kościół w Pistyniu, rodzinnej wsi ojca. Podpalenia dokonali Ukraińcy. Po kilku dniach podpalono budynek urzędu gminy w Jabłonowie. Zaczęła się masakra polskich rodzin zamieszkałych na wioskach. Przyszła zima, nastąpiły obfite opady śniegu. W obawie o najgorsze, co noc ukrywaliśmy się w zaspach śnieżnych pod drzewami. Ukraińcy mordowali pod osłoną nocy, domy puszczali z dymem. W dzień byli spokojnymi sąsiadami. Wigilię świąt Bożego Narodzenia spędziłam ze Staszkiem trzy wioski dalej u cioci Rozalii Karpiuk, która miała męża Ukraińca. Mama tymczasem została na miejscu. Szybko ukryła w zaroślach, z dala od domu, nasze zwierzęta – krowę i konia. Chyłkiem przedostała się do sąsiedniej wioski do znajomej Ukrainki. Ta strasznie się bała rozmawiać z mamą i od-

mówiła jej gościny. Mama uznała, że najbezpieczniej będzie pod ścianą ukraińskiego domu, bo nikomu nie przyjdzie do głowy szukać jej w tym miejscu i tam też w śnieżnej zaspie przetrwała do rana. Przeczuwała najgorsze i miała rację. W nocy wkroczyli do naszej wsi Ukraińcy uzbrojeni w broń palną, ale głównie w siekiery, noże, widły i inne narzędzia gospodarcze. Wymordowali w bestialski sposób pięćdziesiąt rodzin polskich w naszej i okolicznych wsiach. Wielu Polaków zostało żywcem wrzuconych do płonących domów. Mama wróciła do domu nad ranem. Właściwie do zgliszczy, bo dom w nocy spłonął. W świąteczny dzień, wśród tłących się resztek domu, znalazła kilka przedmiotów domowego użytku. Był tam żeliwny garnek, także nadpalona pościel. Najważniejsze jednak, że mama natrafiła na ukrywającą się i bardzo przeziębioną babcię.

Nie można było dalej liczyć, że kolejny napad Ukraińców skończy się dla nas równie szczęśliwie. Wokół nas było tyle nieszczęścia. Po tych przeżyciach wsiedliśmy na wóz, z tyłu podczepiona została ocalała dzięki mamie krowa. Ruszyliśmy niezwłocznie do Kołomyi do krewnych. Kiedy tam mieszkaliśmy trzeba było zdobywać paszę dla krowy i konia. Mama jechała często poza miasto, bywało, że daleko, aby przywieść siano. Nie było mostów, przejeżdżała po lodzie wozem. Raz lód załamał się i mama wpadła do wody. Bogu dzięki, że było płytko, ale wyszła z tej opresji mokra i przemarznięta do szpiku kości. Mimo wszystko wróciła do domu szczęśliwa, że przywiozła siano. Tej zimy w styczniu zmarła babcia. Bardzo żałowaliśmy, że nas opuściła. Niezwykle dzielnie wspierała w tamtych ciężkich czasach mamę, opiekowała się nami troskliwie. Myślę, że taka potrafi być tylko polska kobieta – dzielna wobec przeciwności losu, silna, której nie sposób upokorzyć i ostatecznie pokonać. Babcia Katarzyna Romanowska – polska kobieta

Tymczasem tato dotarł do Drezna, gdzie II Armia Wojska Polskiego zakończyła swój szlak bojowy. We wrześniu czterdziestego piątego roku wrócił do cywila. Ponieważ znał się na rolnictwie, lubił zwierzęta domowe, a szczególnie konie, zdecydo-

wał się pojechać na wieś. W wojsku przemierzał Dolny Śląsk, który po wiekach wracał do Polski. Zdecydował się pozostać na tych ziemiach jako osadnik. Przydzielono mu gospodarstwo w Pasieczniku w Gminie Lwówek Śląski. Jest to wieś bardzo długa o zabudowie łańcuchowej. Droga przez nią prowadzi do Görlitz w kierunku zachodnim, a na wschód do Jeleniej Góry. Tato zamieszkał w dużym piętrowym domu. Od początku, kiedy tam się pojawił dzielił dom ze starszym małżeństwem niemieckim. Ci ludzie do końca wojny byli właścicielami domu i ziemi. Nie wadzili ojcu, ani ojciec im.

My jesienią, w roku końca wojny, wyjechaliśmy na zawsze z Kołomyi. Ciocia, u której mieszkaliśmy upiekła nam chleb z mąki kukurydzianej. Mama zabrała piecyk, tak zwaną kozę, kilka garnków żeliwnych i pierzynę – tę która ocalała z pożaru na wsi. Ostatni raz złożyliśmy kwiaty polne na grobie babci. Trudno było się nam pogodzić z myślą, że jej doczesne szczątki pozostaną na zawsze poza granicami kraju. Tak mało brakowało. Zaledwie kilka miesięcy i wspólnie wyjechalibyśmy do Polski. Jak dostaliśmy dokumenty zezwalające na wyjazd, było też zezwolenie dla niej.

Podróż w wagonach towarowych dla bydła trwała aż siedem tygodni. Dotarliśmy do Żagania. W czasie podróży pociągiem, na granicy został zatrzymany przez rosyjskich pograniczników brat ojca, Janek. W czasie kontroli dokumentów Rosjanie uznali, że papiery stryja nie są w porządku. Później dowiedzieliśmy się, że stryj uciekł Rosjanom, korzystając z ich nieuwagi i schował się w stogu słomy na polu. Pograniczniki podejrzewali, że mógł się tam ukryć. Otoczyli stóg i dźgali bagnetami dokładnie stertę słomy. Stryjek przetrzymał to nakłuwanie nawet bez jęku, aczkolwiek został raniony wielokrotnie. Dopiero po trzech dniach dogonił nasz pociąg, który na szczęście po polskiej stronie posuwał się do przodu powoli, często stawał na wiele godzin, nie zawsze zresztą na stacjach. Te postoje umożliwiły stryjkowi dotarcie do nas. Ludzie wtedy szukali wody w okolicy. Zdarzało się, że pociąg niespodziewanie ruszał. Wtedy należało z trudem zdobytą wodę do picia wylać i gonić pociąg. Pamię-

tam, że na postoju w Zielonej Górze dostaliśmy po tylu tygodniach jazdy pierwszy raz państwowy, pachnący, biały, pszenny chleb.

Była wigilia Bożego Narodzenia. W Żaganiu komisja zajmująca się osadnikami, również ze wschodu, skierowała nas na pobyt do leśniczówki. Zawieziono nas tam w pierwszy dzień świąt. Z bratem zobaczyliśmy pierwszy raz w życiu przystrojoną choinkę i doznaliśmy niezwykle ciepłego przyjęcia ze strony gospodarzy. Po świątach pojawił się tatuś. Okazało się, że sprawdzał wszystkie dotychczasowe transporty, aż nas znalazł. Pojechaliśmy już w komplecie do Jeleniej Góry, a następnie do Pasiecznika. Dom, w którym zamieszkaliśmy z tatą, był jak wspominałam wcześniej, duży i stary. Mieszkało jeszcze w nim w dalszym ciągu niemieckie małżeństwo. Dowiedzieliśmy się, że utracili dwóch młodych synów na wojnie. Nasi współlokatorzy byli mili i dobrzy. Kiedy zostali ewakuowani do Niemiec, później utrzymywaliśmy z nimi kontakt listowy. Dla mnie i mojej rodziny zaczęła się praca w czasie upragnionego pokoju. Była to praca na gospodarce. Ziemię tatuś orał pługiem, który ciągnęły krowy, bo koni nie było. Pola przy tego rodzaju zabudowie wsi, znajdowały się poza domostwami, daleko od nich, nawet bliżej sąsiedniej wsi. W końcu stryj Franek Wołoszczuk zlitował się i podarował nam żrebaka, który wyrósł na wspaniałego konia. Nazwaliśmy go Misiek. Po dwunastu latach rodzice przeprowadzili się do Kromnowa, gdzie kupili duży dom z gospodarstwem w centrum wsi. Zaczęło się od nowa, po raz kolejny urządzenie gospodarstwa. Ziemię mieliśmy blisko domu na zboczach kotliny i płaskowyżu w kierunku na Rybnicę. Szybko dorastałam.

Jeszcze w Pasieczniku rozpoczęłam naukę w szkole powszechnej. Wtedy ta wieś nosiła nazwę Zimna Woda. Potem chodziłam do szkoły zawodowej we Wrocławiu. Mieszkałam u krewnych. Później pracowałam krótko w prewentorium w Miłkowie. To był piękny, drewniany budynek, chyba w stylu alpejskim. Niestety dziś go już nie ma, ponieważ spłonął. W Miłkowie poznałam przyszłego męża Józefa. W roku 1960 wyszłam za mąż za niego. Zamieszkaliśmy razem u moich rodziców w Kromnowie.

Przez piętnaście lat pracowałam z rodzicami na gospodarce, aż do momentu, kiedy zdali państwu ziemię i przeszli na emeryturę. Był to rok 1976. Mąż cały czas pracował w zakładzie energetycznym w Jeleniej Górze. W międzyczasie urodziłam czworo dzieci. Pierwszy był w sześćdziesiątym, pierworodny Jaś, dwa lata po nim Małgosia. Dwa lata później Ewa i po dwóch następnych latach Adaś, który od kilku lat jest właścicielem domu. Wszystkie dzieci założyły rodziny. Jaś w kieleckim, Małgosia w Barcinku, Ewa w Kotliskach, no i Adaś, który z żoną i córkami mieszka w Kromnowie. Mamy sporą gromadę wnuków, bo jest ich jedenaścioro i doczekaliśmy się nawet dwóch prawnuków. Spotykamy się często z dziećmi, które nie zapominają o swoich rodzicach. Staramy się by dom i otoczenie były zadbane, zawsze czyste, żeby panował porządek, jak nauczyli nas tego nasi rodzice. Moim szczególnym zajęciem jest opieka nad ogrodem kwiatowym, mąż zajmuje się ogródkiem warzywnym, syn dogląda całego obejścia. Stojąc na podwórku, rozglądam się wokół. Niestety nie widzę już starych sąsiadów, osadników: Ani i Wojtka Horożanieckich, którzy mieszkali powyżej nas po drugiej stronie drogi, Wandy i Kazika Bondarowiczów, naszych przyjaciół z dołu. Niestety nie ma też między nami ich syna Darka. Był to wspaniały człowiek. Mój Józek zastępował mu ojca, kiedy Kazik zmarł. Razem robili sporo dobrego dla ludzi. Darek cieszył się we wsi dużym autorytetem. Te odejścia ludzi są niestety smutnym świadectwem przemijania. Cieszy więc mimo wszystko widok nowych, młodych twarzy. Kolejnego pokolenia Kromnowian, którzy zaczęli lub dopiero zaczynają dorosłe życie. Tak, jak my pół wieku temu.